

Wychodzą we *Wto-  
rek, Czwartek i Sob-  
te*. We Lwowie prenu-  
merata roczna 6 Złr. —  
półroczna 3 Złr. — kwar-  
talna 1 Złr. 30 kr. —  
miesięczna 30 kr. m. k.  
W kraju z przesyłką po-  
cztowa rocznie 8 Złr. —  
półrocznie 4 Złr. — kwar-  
talnie 2 Złr. m. k.

# NOWINY

Ogłoszenia wszelkiego  
rodzaju przyjmują się z  
opłatą od wiersza pis-  
mem petyt w przedział-  
ce za jednorazowe umie-  
szczenie po 3 kr., za na-  
stęp po 1 1/2 kr. i za do-  
płatą 10 kr. stepsi, za każ-  
dorazowe umieszczenie.  
Biuro ekspedycji w księ-  
garni H. W. Kallenbacha

## DWA ŚLUBY.

Powieść fantastyczna

przez

Józefa Korzeniowskiego.

(Ciąg dalszy.)

Gdy tego samego wieczora do salonu księżnej zaczęli się schodzić goście, księżniczka poglądała co chwila ku drzwiom, oczekując prawie zniecierpliwioną, aż się w nich pokaże ten, co widocznie postanowił sobie nie mieć innej żony, tylko księżniczkę z domu, co takie karety i konie dla niej przeznaczał, co miał ją sam tak cudnym wozie kabrioletem. Zdarzenie chciało, że drzwi się otwarły, weszli razem hrabia i p. Włodzimierz, o którym księżniczka Eleonora do tej chwili jakoś nie pomyślała wcale. Widok młodzieńca zastanowił ją, jakby jaka rzecz niespodziewana; a gdy na obu rzuciła okiem, twarz pana Włodzimierza zdała się jej niby bladą, niby mdłą, jego ułożenie i ruchy w porównaniu z ułożeniem i ruchami hrabiego nie zupełnie dystyngwowane, a obejście się jego w salonie tak wysokim za nadto poufałe i nie mające zasady w jego pozycyi socyalnej. Tak niekorzystne dla kochanka myśli przeszły jednak prędko, zwłaszcza gdy się do niej zbliżył, gdy spojrzal jej w oczy tem wejrzeniem przelotnem a tak znaczącem, gdy przemówił tym głosem serdecznym, w którym brzmiało tyle nadziei. Zawstydziła się więc, że mu taką w sercu swem wyrządziła krzywdę, i z tak błahego powodu; starała mu się nagrodzić ten ból, jakiby uczuł, gdyby mógł być w tej chwili w duszy jej czytać, i tak dobrą, tak słodką była przez cały wieczór, że p. Włodzimierz powróciwszy do domu chodził długo po pokoju, a zasypiając czuł w ręku swem rękę kochanki, widział wyraźnie przed sobą kapłana, podnoszącego stule, co miała ich związać i słyszał rozlegającą się po kościele nótę: *Veni creator!*

Po wyjściu pana Włodzimierza, którego szczęście wygnało przed innymi, gdyż potrzebował samotności, aby całą jego wielkość rozważyć, hrabia przystąpił do księżniczki i podziękował jej, że raczyła dom jego odwiedzić. Księżniczka zaczerwieniwszy się lekko, wyparła się śmiało i nie tracąc przytomności dodała:

— Choćby i tak było, nicby to nie było dziwnego i ciekawości takiej nie mógłbyś mi pan brać za złe, takie cuda głoszą wszyscy o powozach i koniach, któreś pan dla

przyszłej żony swej przeznaczył. Ale czy to prawda panie hrabio — dodała uśmiechając się zalotnie — że tam obok herbu pana jest miejsce już przygotowane na herb jakiejś tajemniczkiej księżniczki, która ma być panią tych, jak mówią, przesłicznych powozów i tych koni, któreś pan podobno na wagę złota kupił?

— Że tarcza już jest przygotowana — odpowiedział hrabia, że mitra nad nią jaśnieje, o tem pani musiałaś nie raz słyszeć. Tyle razy już o tej mniemanej oryginalności mojej mówiono.

— Ja nie znajduję — rzekła patrząc mu w oczy — aby to była oryginalność ze strony p. hrabiego. Ja to uważam za złośliwość, której bym panu nigdy nie przebaczyła, gdybym była na miejscu tych wszystkich księżniczek, które mogą sobie roić, że to dla której z nich.

— Dla czegoż pani siebie z ich liczby wyłączaś? — zapytał hrabia z takim wejrzeniem, że oczy spuścić musiała.

— Alboż pan nie znasz powodów, dla których odrzuciłam oświadczenia pana — rzekła błędąc cokolwiek.

— Pani nawzajem wiesz dobrze, co o tych powodach myślę — odpowiedział z uśmiechem — dla tego byłem i jestem tego przekonania, że to nie było pani ostatnie słowo.

— Toś się pan mocno pomylił — rzekła prędko.

— Ja jednak ośmielam się raz jeszcze prosić panią o pozwolenie, abym na tej pustej dotąd tarczy herb pani umieścić kazał.

— Tego panu zabraniam. — rzekła czerwieniejąc się i odeszła. Hrabia pobawił jeszcze czas niejaki, był wesół, rozmawiał i żartował, różnym księżnom, mającym córki na wydaniu, które się do niego przysuwały, starając się intencję jego wybadać, odpowiadał dowcipnie i złośliwie, i wyszedł dopiero wtedy, gdy salon był już prawie pustym.

Księżniczka wróciwszy do swego pokoju, chodziła jeszcze długo, brała się do czytania i rzuciła książkę: znudzona wreszcie, rozebrała się i położyła do łóżka. Ale sen nie czepiał się jej pięknych oczów. Wziąwszy więc ze stołeczki nóty tych romansów, które p. Włodzimierz tak pięknie śpiewał, zaczęła je przeglądać. Czy to zmęczenie, czy inna przyczyna sprawiła, że nic w nich nie widziała wyraźnie. Laseczki z główkami plątały się w jej oczach, linie zbiegały się z sobą i formowały się z nich to dyszle karet, to koła koczów, to lby rumaków. Nareszcie gdy

fatyga wzięła górę, gdy sen zaczął kleić jej powieki, zdmuchnęła świecę, rzuciła nóry i zasnęła z myślą — o szorach hrabiego Andrzeja!

Nazajutrz hrabia wydał dyspozycje do urządzenia apartamentów swego palacu. Kazał zwołać najdoskonalszych warszawskich rzemieślników, naradzał się z nimi, dawał wskazówki, objawiał każdemu z osobna, jak sobie życzy, i zgodziwszy się bez targu na proponowane przez nich ceny, pod tym tylko warunkiem, że robota będzie jak najspieszniej i jak najdokładniej wykonana, sam nad nią czuwał, zachęcając czeladź podarunkami i rozkazawszy żywić ich ze swej kuchni. Wrzała więc robota jak w garnku, uwijali się stolarze, bronzownicy, malarze, tapicery, ślusarze; objano ściany kosztownymi materyami, złożono lampery, układano prześliczne posadzki, rozpakowywano zagraniczne meble, dopełniano niedostających miejscowemi, słowem tak się krzątali wszyscy i każdy z osobna, że apartament ten, złożony z sali balowej i jadalnej, z kilku salonów wizytowych, z sypialni, przechodzącej wszystko wykwiutnością i ozdobą, z buduaru miękkiego jak puch labędzi, ozdobionego najdoborniejszemi przedmiotami sztuki i prześliczną biblioteczką, z łazienki z marmurową wanną i z trzech okazałych pokoiów dla niego samego przeznaczonych, w przeciągu kilkunastu tygodni gotowy był, oczyszczony, wypolerowany, wykadzony i podziwieniu Warszawy otwarty. Poważny szwajcar, siedzący w galonach na wygodnym fotelu u zaszklonych drzwi na dole, miał rozkaz ukazać każdemu wniście na pierwsze piętro, a znajdujący się w okazałym przedpokoju kamerdyner otwierał zaraz pokoje i oprowadzał ciekawych.

Już trzeciego dnia po otwarciu królewskiego tego pomieszkania, którego urządzenie przeszło pół miliona kosztowało, o niczem więcej na wielkim świecie warszawskim nie mówiono. Wszystkie księżne, mające córki na wydaniu, były tam najpierwsze, i niejedna księżniczka patrząc na te cuda przepychu i elegancyi, wyobrażając sobie jakby to ona tam przyjmowała, jakby jej zazdrościono, jak niewypowiedzianie byłaby szczęśliwą, ciężko westchnęła, nie wiedząc czy to dla niej, czy dla innej przeznaczono. Wszystkie przekonane były, że to niewątpliwie będzie księżniczka i że nie będzie księżniczka Eleonora: ale która z pozostałych tego nikt dojść niemógł.

Hrabia obsypany był komplementami, wynoszono pod niebiosą jego gust, admiirowano wszystko: ganiono mu tylko to, że niepotrzebnie robi sekret ze swego wyboru, i zachodząc go z różnych stron, badano przez dziesiątą i najmniej w sprawie tej interesowaną osobę, aby się przyznał i zagadkę tę rozwiązał. Ale hrabia komplementa przyjmował obojętnie, na pytania, mniej więcej zrećzne, odpowiadał uśmiechem, lecz tajemnicy swej nie zdradził.

W parę tygodni wrzawa ta salonowa zaczęła się uci-  
szać, każdy już prawie widział apartamenta przyszłej hra-

biny Andrzejewej, nikt nie mógł przeniknąć kto nią będzie, wszyscy więc dali mniej więcej za wygraną i do innych rozmów zwracać się zaczęli. Ale pałac hrabiego zawsze jeszcze był otwarty, i gotowość w przyjęciu ciekawych też sama. Jednego tedy dnia o godzinie ósmej z rana, kiedy wielcy panowie lub śpią w najlepsze lub spać dopiero zaczynają, zjawiły się w jego przedsionku dwie panie: jedna młoda, piękna, w skromnem ubraniu i z książką do nabożeństwa w ręku, druga stara, brzydka i z zielonemi okularami na oczach. Szwajcar, który ledwie przetaił oczy, jeszcze galonów nie miał na sobie i w fotelu swym nie siedział, zdziwił się, gdy je obaczył, i zmierzwiwszy surowym wzrokiem, wielką miał ochotę odprawić je z kwitkiem, ale że młoda pani mówiła tonem rozkazującym i trzymała w paluszkach nowiuteńkiego dukata, który upadł na dłoń jego, skłonił się więc nisko, otworzył drzwi co prędzej, prosząc, aby się udały na górę, a sam poszedł wyszukać kamerdynera, którego o tej porze nie było jeszcze w przedpokoju. Kamerdyner, dowiedziawszy się o dukacie holenderskim, przybiegł zadyszany i drzwi otworzył.

Księżniczka Eleonora, bo któraż z pięknych czytelniczek choćby nawet nie urodziła się księżniczka, nie domyśli się, że to była ona, weszła z bijącym sercem. Z ciekawością i podziwieniem przypatrywała się wszystkiemu, egzaminowała każdą drobnostkę, każde cacko, przeglądała się w ogromnych zwierciadłach, które cudną twarz jej tak wiernie oddawały, z ukontentowaniem stapała po przepysznych kobiercach, zaścielających dwa salony, prześliczną sypialnią, na której widok rumieniec wstąpił na jej lica i buduar, którym się nacieszyć nie mogła. Tam usiadła dla odpoczynku, pomarzyła przez chwilę, nadała się niby dla próby, gdyż w tejże chwili piękna twarz p. Włodzimierza przesunęła się jej przez głowę i przechodząc jeszcze raz wszystkie pokoje, zajrzawszy do apartamentu samego hrabiego, rzuciła kamerdynerowi parę dukatów i prędko wyszła.

Kamerdyner poznał ją po piękności, dukatach i po okularach zielonych guwernantki, pobiegł zaraz do pana, jak miał sobie poleconem, i już nazajutrz biegły rzemieślnik na pustej tarczy powozów wyzłacał herb księżniczki Eleonory, a w parę dni potem rozeszła się wieść po salonach warszawskich, że te wszystkie karety, konie i szory, te wspaniałe pokoje, te obrazy, zwierciadła, brzozy, kobierce, obicia, marmury i stiuki są dla tej, która wszystkich wyprowadziła w pole. Rozwiązała się tedy zagadka: wszystkie matki, mające córki na wydaniu, nazywając postępowanie księżniczki bezprzykładną chytrnością, okropnie się rozgniewały, ale że na wielkim świecie nie to się mówi, co się czuje, ale to, co mówić wypada, wszystkie zbiegły się z uśmiechem na ustach i z serdecznem wylaniem winszowały rodzicom, to jest matce, i córce, której twarz cudniejszą jeszcze pięknością, jakby na złość winszującym, jaśniała.

P. Włodzimierz, który od niejakiego czasu postrzegł, że nie tylko nie postępował w swych nadziejach, ale owszem cofał się widocznie, zmartwiony, znudzony i niekontent z siebie, co raz rzadziej się pokazywał w tych wysokich towarzystwach, gdzie tak był pożądanym. Zdarzyło się, że właśnie w tych dniach, kiedy wielka owa nowina rozeszła się po mieście, nie był nigdzie tylko w biurze i na samotnym spacerze w alejach, dokąd codzień chodził, raz dla zdrowia, które w skutek trawiącej go tak bezskutecznie miłości, zaczęło się podkopywać, a powtórę dla obaczenia czasem z daleka, a czasem z bliska księżniczki, której stalowe rumaki prawie codzień drogę tę przelatywały. Raz, napatrzwszy się w Łazienkach na obraz pałacu, odbity w zwierciadle wody i przekonywając się, że z coraz większą prawdą może go do nadziei swych porównać, wracał smutny i zamyślony, gdy idąc y przy nim panowie zawołali: Patrz! patrz! co za cudowne ekwipaże! Podniósł głowę pan Włodzimierz, i postrzegł kabriolet przeszlicznej formy, ciągniony przez dwa nieporównane anglezy, a w nim księżniczkę Eleonorę uśmiechającą i trzymającą się ramienia hrabiego Andrzeja, który z biegłością angielskiego lorda trzymał jedwabne lejce i eleganckim biczem sążnistego kłusa rumaków swych podniecał. Za kabrioletem jechał masztalerz na dzielnym wierzchowcu, i choć umiał siedzieć na siidle po polsku, podniósł się umyślnie na strzemionach, żeby było po angielsku. Dalej szedł kocz otwarty, świecący jak zwierciadło, jaśniejący złoconemi herbami, który unosiły cztery dziwnej piękności konie, w lejce zaprzężone, w takich szorach, jakich jeszcze nie widziała Warszawa. W koczach siedzieli rodzice księżniczki, i tą razą już ojciec i matka.

Panu Włodzimierzowi zaćmiło się w oczach, zdawało mu się, że to jeden z tych snów bolesnych i męczących, które go często dręczyły. Wstrząsł się więc, aby się rozbudzić, a gdy spojrzął na drogę, już cały orszak zniknął i tylko wzbila się za nim chmura kurzawy, ciemna i niewyraźna, jak jego myśli. Rozmowa idących przed nim panów przekonała go, że to co widział było rzeczywistością, było prawdą, tem boleśniejszą, że jeden z nich upewniał, że słyszał wczoraj, iż hrabia Andrzej żeni się z księżniczką Eleonorą, że to dla niej posprowadzał tak pyszne ekwipaże i po królewsku dom swój urządził. Pan Włodzimierz wyminał tych panów, których rozmowa klóła go, jak sztylet zatruty, szedł szybko nie widząc prawie nic przed sobą, a gdy się zbliżył do trzech krzyżów, tak nogi pod nim drzeć zaczęły, że musiał wziąć dorózkę i kazał się zawieźć do domu.

Gdy wszedł do swego pokoju, zastał na biurku swym bilet hrabiego Andrzeja i list następujący: „Kochany panie Włodzimierzu! Domyślasz się zapewne, jakie powody „skłaniają mnie do uwiadomienia pana formalnie, że się żenię, i że narzeczoną moją jest księżniczka Eleonora. Wi-

„działeś pan, zem ci zawsze okazywał szacunek i przyja-  
 „zną życzliwość, chociaż wiedziałem dobrze, że serce twe  
 „dało się ująć powabom osoby, którą równie życzenia jej  
 „rodziców, jak i odpowiedność naszego położenia na świecie  
 „przeznaczyły dla mnie. Nie dałem ci tego nigdy poznać  
 „co widzę, bo byłem pewny, że równie ona, jak i pan po-  
 „strzeżecie się wkrótce, że do skojarzenia legalnego zwią-  
 „ku nie dość jest chwilowego rozmarzenia głowy i skłon-  
 „ności serca, dającej wdzięk życiu tylko wtedy, kiedy wszy-  
 „stkie inne warunki odpowiadają. Księżniczka Eleonora  
 „dla dobra swego i dla dobra pana wykurowała się już z  
 „tej choroby i widzi jasno te obowiązki, jakie na nią jej  
 „ród i położenie światowe wkładają. Przez szczerą ży-  
 „czliwość dla pana, przez szacunek jaki mam dla przy-  
 „miotów twego umysłu i serca, radbym także, abyś jak  
 „najprędzej wyzdrowiał duszą, i okiem, niezaćmionem przez  
 „żał za szczęściem, które oczywiście było tylko cczą ma-  
 „rą, spojrzął na ten kierunek, jaki konieczny bieg życia  
 „nadaje jej losom i losowi pana, przed którym inny wca-  
 „le zawód otwarty. Komu Bóg dał tyle zdolności, i po-  
 „stawiwszy go na drodze pracy i zasługi, ułatwia mu wszy-  
 „stkie zawady, daje życzliwość ludzką, i ciąglem powo-  
 „dzeniem zdaje się mówić: idź śmiało, idź dalej i dalej!  
 „ten powinien tylko głosu tego słuchać, a nie pętać nóg  
 „swych kajdanami, które z razu lekkie i ozłoczone, wkrótce  
 „dałyby mu poczuć swój ciężar i w biegu jego niewątpli-  
 „wie by go zatrzymały. Sądzę, że pan uznasz słuszność  
 „tej uwagi i życzliwość słów tych ocenisz. Tak dalece mam  
 „pana za człowieka pełnego rozsądku i znającego prawidła  
 „przyzwoitości, że nie lękam się wcale, abyś wystąpił z ja-  
 „ką niewłaściwą pretensją, lub dopuścił się jakiej sceny  
 „względem osoby, która pozwalała panu okazywać sobie  
 „przywiązanie dopóty, póki sama myślała, że pana kocha i  
 „że jej to wolno. Dziś gdy się jej otworzy oczy, zacho-  
 „wuje panu szacunek i przyjaźń, i prosi pana przezemnie,  
 „abyś o przeszłości zapomniął. Do tej jej prośby ja do-  
 „łączam i moję, dodając, że dom nasz zawsze będzie dla  
 „pana otwartym i moja ręka zawsze gotowa uściskać rękę  
 „młodzieńca, pełnego nadziei, i tym szacowniejszego w mo-  
 „ich oczach, im prędzej potrafi dać górę rozumowi nad  
 „sercem. Jestem z najszczerzym szacunkiem i życzliwo-  
 „ścią i t. d.“

Pan Włodzimierz przeczytawszy rzucił ten list, który mu się wydał goźkiem naigrawaniem. Chciał się gniewać, chciał desperować, chciał wyzwąć hrabiego, chciał afront zrobić księżniczce, ale gdy pierwsze wzburzenie przeszło, gdy go opuściła gorączka, a z nią opadły siły ciała, refleksya wzięła górę i rozpoczęło się powolne, ale zbawienne działanie rozsądku. Drugie i trzecie odczytanie tego listu, w którym rzeczywiście nie było ani ironii, ani goryczy, ale zwykła wielkiego świata życzliwość, tak podobna do życzliwości prostaczków, jak do prawdziwego ognia po-

dobnym jest ten jego obraz, który się czasem w bryle lodu odbija, dopomogło temu regulatorowi wszelkiego nieladu w świecie moralnym i materyalnym. Nie mógł jednak zostawić tej rzeczy tak jakby nie była wcale. Chciał koniecznie, aby w życiu płochy kobiety został ślad jakiś, że miała do czynienia z sercem, które nie po jej tytuł, nie po jej posag sięgało. Chciał więc koniecznie jakiejś zemsty, jakiegoś jawnego okazania, że jej przemieszanie nie upokorzyło go wcale, nie odjęło mu ducha, nie zamknęło przed nim drogi do ziemskiego szczęścia i powodzenia, do którego i bez niej dojść potrafi. Ale jak tego celu dościsnąć, jakim sposobem zdobyć choćby jedną taką chwilę, w którejby to wszystko stanęło wyraźnie przed jej okiem i nappełniło jej serce już nie żalem za przeszłością, nie zgryzotą, ale przynajmniej wstydem i złością, że i bez jej zwoźniczego uśmiechu i zawodnych obietnic jest radość na ziemi. Postanowienie to tak mocno się uczepiło jego energicznego serca, że złamało siłę tej gwałtownej boleści. Jaka z razu uczuł.

Nazajutrz, gdy ciągle nad tem medytował, a nie miał jeszcze ani sił, ani głowy, aby się zająć pracą biórową, poszedł około godziny dwunastej do ogrodu saskiego i tam po środkowej alei zwolna się przechadzał. Tak idąc od pałacu ku żelaznej bramie, obaczył śpieszącą naprzeciw siebie panienkę w skromnym, ale bardzo przystojnym ubraniu, z pękiem nót pod pachą. Ledwie oczom własnym mógł wierzyć, tak dziwny widok go uderzył. Zdawało mu się, że to księżniczka Eleonora idzie ku niemu, tak jej twarz, postać i ruchy były podobne i prawie też same. Panienska przechodząc mimo, postrzegła, że piękny młodzian wypatrzył się na nią, jak na jakie widać. Zastanowiło ją to widać, ale i zabawiło zarazem. Podniosła więc na niego prześliczne błękitne oczy, czarnymi osłonięte rzęsami, uśmiechnęła się pokazawszy zębki jak śnieg białe, ruszyła ramionami i poszła. Pan Włodzimierz powstał przez chwilę na miejscu, panienska odszedłszy kilkanaście kroków obejrzała się jeszcze i znów ruszyła ramionami, a młody człowiek, który w tem spotkaniu widział jakby jakie zrzędzenie, uderzony osobliwszą myślą i pragnąc natychmiast przekonać się, czy ją zdoła urzeczywistnić, poszedł szybko za nią i nie spuszczał jej z oka. Takim sposobem przyszedł aż na Podwale. Panienska widząc i czując, że jest ścisana, przy drzwiach ezwarnej kamienicy z prawej strony zatrzymała się. Gdy p. Włodzimierz nadszedł i zatrzymał się także, gdy na nią spojrział z zajęciem i ukłonił się, rzekła mu:

— Przepraszam pana bardzo, ale muszę mu powiedzieć, że mi robisz niegrzeczność.

— Tej myśli nie miałem, mogę panią upewnić honorem — odpowiedział p. Włodzimierz,

— Dla czegoż pan mnie ścisasz i nie idziesz dalej, kiedy nie mam przyjemności znać pana.

— Dla tego, że chciałbym mieć szczęście dać się pani poznać i pragnąłbym z panią pomówić — odpowiedział słuchając z przyjemnością jej głosu, którego brzmienie było srebrne i czyste, i znajdując że dziwne podobieństwo z tą, którą kochał, przy bliższem nawet przypatrzeniu się było jeszcze uderzającym.

— Pomówić ze mną? o czem że to naprzykład? — zapytała z uśmiechem.

— Rzecz jest tak ważna — odpowiedział p. Włodzimierz, że chciałbym z panią pomówić gdzie indziej i przy jej rodzicach jeżeli ich masz.

— Przy moich rodzicach? — rzekła z zastanowieniem. Potem czerwieniąc się spojrziała na pięknego młodzieńca, który się jej pilnie przypatrywał i dodała: — Rodziców nie mam, ale mam brata, u którego mieszkam, i który mną się opiekuje. Teraz zapewne nie ma go w domu, on w biurze. Czy to co bardzo pilnego, co mi pan masz powiedzieć?

— Wolalbym, abyś się pani dowiedziała zaraz, o co mi idzie — odpowiedział z postanowieniem.

— To proszę pana z sobą — rzekła po chwilce namyślnie, spojrziała jeszcze raz na niego, zapłonila się i pobięła na schody.

Pan Włodzimierz szedł za nią, trochę mu się w głowie męciło, jakiś niby strach go ogarniał, niby refleksya przychodziła, że sam nie wie co robi; ale już nie czas było uciec, był już na drugim piętrze i panienska stała we drzwiach otwartych swego mieszkania. (D. n.)

### Szwedzkie zaloty.

Piękna jak seraf w aniołów gronie,  
Śród družek oblubienica!  
Postać jej luby żrenicą chłonie.  
Serce mu drży, pałą lica.

I corki ojcu całuje nogi,  
Choć młodzian łzami je myje,  
Ścisła wchodzących w weselne progi,  
Wiesza się druhom na szyję.

Brzmia tańce, śpiewy, szepty, wiwaty,  
W braterskiej szczerzej jedności,  
Jak błękit nieba domu komnaty  
Objęły wesołych gości.

W tem syn Pipera, dumny i dziki,  
Zabłądził z łowów, czy zboczył,  
Był młody, słyszał dźwięki muzyki,  
Z orszakiem do dworu skoczył.

Goście, družbowie na progi dworu,  
Biegą gdy Szwedów zoczyli;  
Jakby nadeszła dziewica moru,  
Radość zamilkła w tej chwili.

«Przyjmcie nas do was, i my hulaki,  
Szlachcicu piękne masz dziecię,  
Jam ją nie widział jeszcze, dziwaki!  
Gdzieś córki zawsze kryjecie.»

Skromnie rzekł ojciec, choć duma bodzie:  
 „U nas już takie zwyczajaj:  
 Córce dość świata w męża zagrodzie,  
 Gdy żona, matka zostaje.”

„Hej! krzyknął Piper, szalono, gracko,  
 Zagrajcie walca muzyki!”  
 I pannę młodą chwycił junacko,  
 Drżącą jak listek osiki.

Nie odpną jego druby oręży,  
 Ze szlachtą bali się zwady,  
 Rwą trwożne panny w objęcia węży,  
 Do piersi cisną jak gady.

Żwawo hulali, jedli i pili,  
 Krew zakapiała Szwedowi,  
 Piper do panny młodej się mili,  
 Chwyta za rączkę i mówi:

„Zimne jak lody u nas dziewczowie,  
 Choć lica świeże, nadobne,  
 Polko! jak róże jagody twoje!  
 I serce pewnie podobne.”

„Gdybym mógł moją mroźną ojczyznę,  
 Tak cudną ozdobić różą! —  
 Tu ci świat daje trudy w spuszczenie,  
 Tam złota, pałaców dużo.”

Pojęła panna zaloty Szweda,  
 Do nieba o pomoc woła,  
 W cichej modlitwie, czej bóg jej niedał  
 W szatana ręce, anioła!

Wyszła i męża za rękę bierze,  
 Znikli gdzieś w ciemnej uboczny,  
 Przez swych drabantów Piper ich strzeże,  
 Sam dalej zabawy toczy.

Co oni szepcą? jeszcze niewiele,  
 A już mąż-młodzian się zżyma,  
 „Przebóg” i chwyta za karabeł!  
 Ona wstrzymała oczyma:

„Co czynisz? draby zawsze przemogą,  
 Mnóstwo jest po wsiach tej hordy,  
 Morzem rozleją polską krew drogą,  
 Na mnie by spadły te mordy.”

„Jam winna, jam się mu podobała,  
 Bóg chce, i sama niech ginę.”  
 Do piersi męża przypadła cała,  
 W łzach spłyły oczy niewinne.

Lecz mąż ku niebu wyciągnął ramię,  
 I uroczystym rzekł głosem:  
 „Żono! dzisiejszych ślubów nie złamię,  
 Twój los i moim jest losem.”

Łkanie, całusy a słów niewiele,  
 Po chwili pusta komnata,  
 W świetlicach ciągle huczne wesele,  
 Dziw! Szwed z Lachami się brata.

W tem do Pipera drabant przypada,  
 Coś szepnął a ten się zrywa:  
 „Przerachowali! biada im, biada,  
 Parka nie ujdzie mi żywa.”

„Co to? teść pyta, co tu zachodzi?”  
 Wiją się Szwedzi jak wściekli,  
 „Hej koni, koni!” gdzie państwo młodzi?  
 A państwo młodzi uciekli.

Piper na konia skoczył i leci,  
 Jako sęp w chmury, w zawieje,  
 „Tędy szlak, co tam pośród zamieci,  
 Jak żywy punkt się czernieje?”

„To oni! zbiegi!” i Szwedzi pędzą,  
 Nim szlachta dopadła koni,  
 Sywał Pipera, pokrewny z jędzą,  
 Nieszczęsnych wkrótce dogoni.

„Mężu mój, słyszysz wrzask kopyta?  
 W jeziora zapędzaj konie,  
 Cieplica kruchą szybą nakryta,  
 Może przed nimi nas schłonie.”

A mąż skierował sanie w jeziora,  
 A wierne rumaki gonią,  
 Lecz Szwedzi lecą lotem upiora,  
 Anieli chyba obronia!

„Nie pęknaż lody? czy szlaki złemi,  
 Ruszasz? na mężtwie-ż ci zbywa?”  
 „Tuście!” mi krzyczy Piper za niemi,  
 Żona za kindżał porywa.

Wtem huk, trzask, lodów rozpęka łono,  
 Sine wybłyśły otchłanie  
 Z pod kopyt Szwedów! klną, wrzeszczą, toną,  
 Cudem wymknęły się sanie.

Mąż płacze, klęczy, uściska żonę,  
 A na jej oczach łyzy świecą,  
 Wzniesła ku gwiazdom ręce złożone:  
 „Módl się za nimi Rodzico!”

P. K.

## Najnowsze dzieła.

### 1) Urodzony Jan Dębóróg.

Dzieje jego rodu, głowy i serca przez niego samego opo-  
 wiadane a rytmem spisane.

(Przez Władysława Syrokomlę. Petersburg 1854.)

### 2) Zgoda Senatorska, tradycja szlachecka.

(Opowiedział Wincenty Pol. Petersburg 1854.)

(Ciąg dalszy.)

Po roku ojciec odbiera syna i oddaje do szkół. Pobyt w szkołach, nauki ówczesne, przyjazne stosunki z towarzyszami szkolnymi; same to obrazki rodzajowe, pełne prawdy, treści i tła. Mianowicie ten pogląd późniejszy na czasy szkolne, na tyle nadziei spełzłych na niczem, na te jenuście przewidywane, które życie i namiętności pokrzy-

wiły, jest ujęty z talentem i prawdą szczególną. Jest to smutna, ból rodząca prawda, oddana z wielką poezją!

Pan Jan wraca ze szkół; ojciec nie może sobie dać rady z wielkiej radości, jaką go przenika uczoność syna, której i ksiądz definitör nie zaprzecza, chociaż półzartem, pół na prawdę powiada, że mu brakuje:

Mądrości Sokratycznej, poznania że głupi!

Ojciec woła syna do siebie, i oddaje mu wszystkie przybory myśliwskie, których dobre użycie należy do koniecznych zalet domu Dęborogów, bo:

Każdy Dęboróg chlubny z nazwiska,  
Choć nie senator, wenator przecie.

Jan wychodzi na ogromnego myśliwego; pieszo i konno, z pieskami, z rusznicą ugania po lasach i polach; ojciec się tem cieszy, tem mocniej, że mu to przypomina młodsze czasy i pana wojewodę Trockiego, o którym nową anegdotę ma już w pogotowiu. Razu jednego zapędził się poza mogiłę rotmistrza, i po raz pierwszy w życiu zbliżył się do nieznanego sobie dworku Brochwiczów. A w tym dworku, pod starą strzechą, przy gałęzi topolowej, wśród róż ogrodowych postrzegł śliczną dziewczynę. Postrzegł i pokochał Zosię, jedynaczkę wdowy Brochwiczowej. Poznał się z sąsiadkami i bywał u nich często. Za często na młode ich serca; miłość bowiem wzajemna ujęła w sidła swe niepamiętnych na niezgodę dzielącą ich rody. Pierwsza opamiętała się matka Zosi, i przez usta córki prosi młodego Dęboroga, aby przestał bywać w skromnym domku szlacheckim. Pożegnanie czułe, w którym Zosia więcej pokazuje od Jana determinacyi, bo mniej pojmuje upór rodowych nienawiści. Młodzieniec w rozpacz, błądzi po polach, i w nocy już zmęczony gdy wracał, odпочął przy mogile rotmistrza. Nagle postrzega tuż przy sobie postać okropnie bladą, w długiej białej szacie, a na głowie jest rana okropna, z której sączy się krew. Postać ta grobowa, posępnym odzywa się do młodzieńca głosem: i trzykroć powtarza:

— Redde, quod debes!

Jan przerażony ucieka, wpada do domu i dostaje maligny, w której powtarza słowa słyszane, i niejedno odkrywa z swej serdecznej tajemnicy, mianowicie przed księdzem definitorem, który go najczulej w słabości pielęgnuje. Gdy już przyszedł do zdrowia, zapytany przez ojca, opowiada mu widzenie swoje. Stary Dęboróg dziwnie zpośpinał, i nie mogąc ukryć cierpień swoich, zapytuje księdza, czy można wierzyć w cuda, w widma. Rozpowiada mu nareszcie, że sam już razy kilka widział w życiu to samo co syn widmo. I zawsze powtarzało te słowa: Redde, quod debes, i zawsze wskazywało to na miedzę graniczną, to na dworek Brochwiczów.

Ksiądz definitör odpowiada mu na to, że w fortunie Dęborogów ludzkie łzy być muszą.

W dowód czego, opowiada mu ksiądz sen jaki miał

niby. Pod postacią snu opowiada on jemu dzieje z kądinąd mu znane o owym rotmistrzu, pochowanym na miedzy, którego to jak się zdaje widmo pojawia się od czasu do czasu. Rotmistrz będąc młodym i namiętnym, pokłócił się raz z sąsiadem Brochwiczem, i jak wiadomo miał proces z nim, lecz o co, nikt dobrze nie wiedział. Owoż w owym niby śnie widzi ksiądz definitör rotmistrza rannego na Ukrainie, jak konający leży i wzywa spowiednika. Nareszcie głośno w obec wszystkich i obecnego tam syna opowiada, że w niebytności Brochwicza dziesięć morgów jego ziemi zorał, kopce przekopał, i inne wysypał, a chcąc by ta sprawa na wieki się zakryła, lamus sąsiedzki, w którym były wszystkie jego prawne dokumenta, przez dziada żebraka podpalić kazał. Umierając wyznaje tę zbrodnię, za którą za życia nie był ukarany, bo Brochwicz uboższy od niego, nie mógł swej krzywdy prawnie odzyskać, i zaklina syna by pochował go na dawnej, sprawiedliwej miedzy granicznej. Syn, skąpy szlachcic, nie chcąc tracić ziemi tyle, pochował ojca na niestusznej miedzy. Brochwicze procesowali się daremnie; aż nareszcie proces upadł, i tylko została nienawiść rodzinna. Ojciec Jana, skruszony opowiadaniem i słowy księdza, a mianowicie łzami syna, który mu swą miłość wyznaje, przystaje na ukończenie dawnej nienawiści i sporu małżeństwem Jana i Zosi. Z tego co tu tylko pobieżnie powiedzieliśmy, jasno okazuje się cała prawda tej gawędy szlacheckiej. Bo cała osnowa prosta, oparta na rysach rzetelnych życia szlacheckiego. Wszystko tu prawdziwe; i te kłótnie graniczne, i tradycje o duchach pokutujących póty, póki krzywdy przez nich poczynione nie zostaną nadgrozione przez potomków, i takie zakończenia rodzinnych waśni, za pomocą poczciwego księdza i stuły małżeńskiej wszystko jest prawdziwe. A szczegóły, a szczególne obrazki, zarysy drobne! trzeba cały ten poemacik przeczytać, aby pojąć ile tam jest życia i poezji!

\* \* \*

Poemat Wincentego Pola ma stanowić drugi tom pamiętników Benedykta Winnickiego, z których pierwszy tom: „Przygody Benedykta Winnickiego” wyszły dwa kroć już we Lwowie, a teraz w trzecim wydaniu wraz z Zgodą Senatorską w Petersburgu nakładem Wolffa.

Treść Zgody Senatorskiej następująca: Z Podkomorzym Balem poważnił się starosta Mniszech o to, iż go tenże nie nazwał Mniszchem, lecz Mniszkim. Mniszków zaś rodzina niewyrównywała w świetności rodzinie Mniszchów. Ksiądz biskup Ignacy Krasicki zjechawszy do Dubiecka do rodziców swoich, sprasza szlachtę sanocką, a oraz Mniszchów i Balów, a zlawszy do jednego kielicha dwa wniesione winem zdrowia z kielichów, z których jeden zwano Podkomorzym a drugi starostą, tym symbolem jedności pogodził poważnionych. Oto Zgoda Senatorska!

(Na każdej karcie historii naszej zdybujemy najświetniejsze przykłady Zgody Senatorskiej. Stronictwa poli-

tyczne stają do zaciętej walki, o śmierć lub życie, nieraz jak pod Guzowem i pod Montwami już krew się leje potokami, nieraz właśnie stronnictw zagrażają powszechnem zaburzeniem kraju. Występują pełni poświęcenia dla kraju ojcowie ojczyzny, najczęściej z senatu duchownego i powagą swą, wziętością powszechną, szczerem, nieposzlakowanym poświęceniem przywodzą do skutku zgodę i kraj ocalają od zguby. Zgody podobne znane są i w tradycyi narodu i w historii pisanej pod nazwą: Zgody Senatorskiej. Wincentego Pola Zgoda Senatorska jest parodią tej szanownej tradycyi narodowej!

Dziwna rzecz! Pan Wincenty Pol wytknął sobie za cel w poezjach uapoteozować życie szlachty polskiej a w tym poemacie właśnie sparodiował to życie. Bo nie jestże to parodią stronnictw politycznych między szlachtą, gdy szlachta całego prawie województwa z powodu, iż zamiast **ch** wymówiono **k** dzieli się na dwa obozy? Czy nie jest to parodią gdy właśnie szlacheckie przychodzą do zgody przez utopienie ich w garncowych kielichach? a tę operacyą przedsiębierze biskup, książe poetów polskich?)

Na wstępie w ogólnych wyrazach apoteozuje Pol życie szlacheckie i panów polskich. Między innymi mówi:

Śmiech mnie bierze bierze gdy słyszę dziś o nas mówiących,  
Lub co gorzej gdy czytam ciemiegów piszących:  
»Że możne domy stały tylko starostwami,  
»A szlachta dworską służbą za panów plecami.»

O co tak długo stało, to stało posadą,  
I nie tak nas mosanie uczyli za młodu,  
Bo możne domy stały tradycyą narodu,  
A szlachta stała w życiu familijną radą!

A na dowód tego w treści swego poematu pokazuje jak możne domy o rzecz błahą, osobistą waśnią się, a szlachta w skutek tego bez najmniejszej politycznej pobudki, bo nawet nie pokrywając tej najniedorzeczniejszej waśni osobistej pozorami publicznymi, idzie w czambuł w dwa obozy i kłóci i rąbie się między sobą. Godzi się zaś potem również nie dla osiągnięcia jakiegoś publicznego celu, lecz ot tak sobie, bo księciu biskupowi podobało się zabawić się w senatorską zgodę, bo już to niby do natury szlacheckiej należy, kłócić się, godzić się potem, a jedno i drugie bez istotnej przyczyny.

(Każdy szlachcic polski żył więcej życiem publicznem niż prywatnem. W każdym kroku jego, w każdej myśli sprawa publiczna przeważnie występowała. I inaczej nie mogło być w narodzie, który przez kilka wieków żył najswobodniejszym życiem politycznem.)

Chcąc więc malować w poezyi i życie prywatne naszych przodków, poeci i powieściarze oddawać muszą i tę stronę publiczną, która tem więcej przyczynia się do skreślenia i wyrobienia życia prywatnego. Cóż dopiero, gdy zamiarem poety jest przedstawić właśnie życie publiczne, a domowego używa jedynie jako stafażu, gdy wprowadza historyczne osoby, i historyczne tradycye? Gdy wy-

prowadza naród i wiek cały, i pokazać nam chce w postaciach dotykalnych, co w owym wieku narodem poruszało? jak to uczynił Mićkiewicz w panu Tadeuszu a Rzewuski w Pamiętnikach Soplicy i w Listopadzie?

Tymczasem po tylu świetnych wzorach, czy widzimy też samo w Zgodzie Senatorskiej, w tym poemacie który wyprowadza z wojskich dworów szlachtę na obszerniejszą życia, zjazdów tłumnych, widownią? Czy jest tam choć jedna postać, którą by myśl sprawy powszechnej poruszała? Mniejsza o to, że poecie podobało się uświetnić rodzinę Krasickich a mianowicie księcia biskupa Ignacego Krasickiego, choć Polaka i księdza katolickiego a przecież serdecznego przyjaciela i największego adoratora króla Fryderyka i Woltera, ale czy ten główny bohater tego poematu ma jakikolwiek wybitny charakter publiczny, jeżeli już nie zachował mu poeta charakteru, z jakim go historia przedstawia?)

Tyle co do ogólnego stanowiska poematu Pola. Nie stawialibyśmy tych żądań, gdyby podobnie jak Syrokomla w Dęborogu, i nasz ulubiony poeta nie był sam z tą pretensyą wystąpił, i na wstępie zaraz nie zapowiedział był nam apoteozę panów i szlachty polskiej z wyraźnem odnoszeniem tego wszystkiego do czasów dzisiejszych, gdyby był nie wyprowadził na scenę liczne z całego prawie województwa zebrania szlacheckie, więcej publiczne, i ludzi historycznych w narodzie i równie tak piękną i wielką tradycyą jaką są Zgody Senatorskie? Syrokomla opowiedział jedynie dzieje głowy i serca jednego człowieka. Z tego też stanowiska zapatrywalibyśmy się na utwór jego. Ale z tego samego stanowiska poematu Pola sądzić nie możemy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

## Rozmaitość.

\* Piszą z Paryża: Ważny wynalazek tegoczesny, podwodna żegluga Dra Payerne, teraz ma być do praktyki zastosowanym. Towarzystwo, które ten wynalazek nabyło, zaproponowało rządowi, iż port tamtejszy bez najmniejszego kosztu dla rządu wyczyszczi. Tajemnica polega na odkryciu sposobu produkowania sztucznego powietrza w tak wielkiej ilości, iż 14. ludzi ma dostatecznie czem oddychać, pracując przez godzin 4. pod wodą. Ciekawą próbę odbyto właśnie w Marsylii, gdzie Dr. Payerne w towarzystwie trzech majtków, a w obecności kilkunastu tysięcy widzów, porąkł na dno morskie, w bardzo znacznej odległości znowu wypłynął i wlaźł na okręt tam stojący, tak, iż osada tego okrętu nie postrzegła tego, aż dopiero gdy wszedł na pokład. Mówią głośno o tem, iż rząd buduje małą flotę, z podwodnych składać się mającą czółen, na każdym miesiącu się ma 20 ludzi, i wyprawi połowę tych czółen na Bałtyk a połowę na Czarne morze. Gdy statek podobny zbliży się pod wodą do okrętu, ani najmniejszego ruchu nie widać na powierzchni wody. Z wynalezionym od p. Payerne aparatem, można i samemu człowiekowi, choć wyjdzie ze statku, po dnie morskim swobodnie chodzić. Wynalazek ten przyczyni się nadzwyczajnie do zbadania wszystkich głębin oceanów. Ciekawą jednak rzeczą i charakteryzującą nasz wiek jest, iż pierwsze zastosowanie tego wynalazku, który co do wpływu jaki wywrze i ważności swej, stanie niezawodnie obok te-

legrafów elektrycznych, dostarczyło z Granville do Paryża świeżych ostryg!

\* Forteca z krzystalu i żelaza na pagórku pod Sydenham, nowy pałac krzystalowy, konkuruje w Londynie z wszystkimi fortcami nad Bałtykiem i czarnym morzem, a kolej żelazna jednego tylko dnia przystawiła 12,000 osób do tego labiryntu w którym przeszło 300 osób jest teraz zajętych przysposobieniem wszystkiego do otwarcia pałacu. (Już 31 maja otwarty został.) Gmach sam mieści w sobie 40 milionów stóp kubicznych przestrzeni. Najciekawsze sale przeznaczone dla historii sztuk pięknych, bo tam od początku świata aż dotąd cała historia sztuk pięknych architektonicznie i plastycznie jest przedstawiona: sztuka egipska, assyryjska, grecka, rzymska średniowieczna, arabska (Alhambra) bizantyńska, włoska, renaissance, angielska i nowożytna. Ciekawe są i gmachy na wystawę przemysłu przeznaczone. Jest ich siedm.

\* Podczas kiedy Europa rozpoczyna na seryo wojnę, wynalazcy tworzą maszyny za machinami, i oddają się najdziwniejszym pomysłom. Droga przemysłu jest niezmierna, ale gdzie zatrzymają się na tej drodze? Jeszcze jakiś czas, a człowiek znajdzie się zupełnie usuniętym z użycia.

Jeden dziennik amerykański donosi, że obecnie znajdują się w Stanach Zjednoczonych maszyny, które przędą, tkają i szyją; są maszyny które szyją buty, szuwają je i lakierują, zegary elektryczne, które budzą, biją godziny i zapalają lampę lub świecę. Sygara robią się maszyną, maszyna kraje ser, czyści noże i widelce, pierze bielisz i myje talerze. Wędka na ryby sama zakłada sobie zanętę i drga zęcnie dla przywabienia ryb. Pomijamy mnóstwo jeszcze dziwniejszych między temi wymysłami zaatlantycznymi. Widzimy, że w tym szczęśliwym kraju człowiek niepotrzebuje nic więcej, tylko przechadzać się, jeść i spać, i że dobrze rozważywszy, mógłby wcale nie istnieć, bo maszyny zastępują go zupełnie.

\* **Nowy sposób rozmnażania drzew owocowych bez szcepienia.** Bierze się z drzewa gałązka i wytka w kartofel, a potem zakopuje w ziemi tak, aby nad wierzch wystawało jej tylko czterech do pięciu cali. Wkrótce ona wypuści korzonki, rozwinię się i rosć zacznie, a potem wyda drzewo z dobrym owocem bez użycia zrazów, dotąd w dziecku szcepienych.

\* Dzienniki z przyłądka Dobrej Nadziei donoszą, iż tam odkryto kopalnie złota. Ludność rzuciła się do kopania, a bardzo wielu sówite miało żniwo, tak, iż lepszego i w Kalifornii mieć by nie można. Złoto to w drobnych znajduje się bryłkach i w małych ilościach, ale trafiają się częściej i gęściej, i nierównie są czystsze, niż złoto z Melbourne.

Dołączona do dzisiejszego numeru lecz za miesiąc maj należąca się rycina przedstawia:

1) **Ubiór domowy;** czypeczek zrobiony z trzech rzędów szlerek *gipure*, wstążkami szkockimi ubrany; po każdej stronie po dwie róże z wstążek takichże samych, z wiszącymi końcami. Dolmanik kaszmirowy, w guście orientalnem, obszyty do koła we dwa rzędy taśmami tureckimi a u dołu przy taśmie frenalą drobno strzępioną. Krój tej katanki jest szeroki i prosty, na kłębach rozcięty, rękawy u dołu formują czworograni, z przodu otwarty aż do zgięcia ręki, a z przeciwnej strony obszyty taśmami formującym udane rozcięcie aż do łokcia prawie. Suknia z zielonej materyi o trzech falbanach, obszytych taśmą zieloną i czarną, wieniec z liści formująca.

2) **Ubiór od wyjścia.** Kohnierzyk koronkowy w zęby. Płaszczek zwany rejentką, z białej materyi, skrojony w półkoła, haftowany atłaskiem w kwiaty, taśmą jedwabną i sutą frenalą do koła

obszyty. W skutek swego kroju w ramionach jest wąski, a u dołu bardzo szeroki, lecz przecie nie zbliża się do kroju talmy, bo u góry znacznie się krój z półkoła zwęża. Suknia jedwabna materyalna, stanik okrągły, u dołu w stanie marszczony, z przodu otwarty, szlarczka *ruche* obszyty; szeroka falbana, pod szlarczka *ruche* przyszyta zdobi cały dół spodnicy. Kapeluszek tiulowy, ubrany wstążkami i kwiatami. Krój tego kapelusza jest otwarty z przodu a spadający mocno z tyłu, kania zrobiona z wstążki, na poprzek kładzonej na spłaszczonych drucikach. Na wstążkach upina się tiul marszczony w buki. Pod główką z tyłu przypięta girlanda, z której po dwie róże po bokach występują, a kończą się liściem, sięgającym ku naczółkowi kani. Pod spodem ubrany kwiatami, wstążkami i blondynami.

Arkusze rysunków w naturalnej wielkości przedstawia: 1) **krój Mantylki**, wycinanej w zęby czworograniaste, jakę miała dama, w poprzednio załączonej rycinie przedstawiona: 2) **krój Stanika** zwanego *Sultane*, z baskiną przyszywaną.

**Przyjechali** od dnia 31. maja do 2. czerwca do Lwowa:

PP. Wiśniewski Hipolit, z Lubaczowa. Thórnicki Bogusław, z Cucełowic. Łodyński Hieronim, z Milatyna. Bystrzanowski Leopold, z Makuni. Antoniewicz Jakób, z Wojatycz. Kościński Edward, z Turzego.

PP. Janiszewski Jan, z Wierzbicy. Łoś Włodzimierz, hr. ze Żółkwi. Orzechowicz Ludwik, z Łopatyna. Leniewicz Erazm, z Zadzórzca. Polakowski Feliks, z Bojańca. Ciepanowski Elias, z Komarna. Baworowski Włodzimierz, hr. ze Strusowa. Zagórski Karol, z Tarnopola. Gross Piotr, z Koniuszek. Karnicki Teodor, hr. z Michałowic.

PP. Parys Jan, ze Rzepnik. Skolimowski Julian, z Dynisk.

**Wyjechali** od dnia 31. maja do 2. czerwca ze Lwowa:

PP. Bobrowski Klemens, do Korsowa. Zawadzki Józef, do Tarnopola. Siemiński Wilhelm, hr. do Bartałowa.

PP. Dobrzański Władysław, do Manasterca. Tyszkowski Józef, do Rybotycz. Pałuszyński Józef, do Mokrzan. Wysoczański Aleksander, do Jakimowa.

PP. Macieliński, do Sambora. Szemelowski Julian, do Sambora. Krański Michał, do Gródka.

Dzisiejszy.	Kurs lwowski.	Gotówką	towarem.
Dukat holenderski	z r. 6 kr. 16	z r. 6 kr. 20.	
Dukat cesarski	6 " 21 "	6 " 24.	
Półimperyal zł. rosyjski	" 10 " 52 "	10 " 56.	
Rubel srebrny rosyjski	" 2 " 7 "	2 " 8.	
Talar pruski	" 2 " 1 "	2 " 4.	
Polski kurant i pięciozłotówka	" 1 " 32 "	1 " 33.	
Galicyskie listy zastawne za 100 zlr.	" 92 " 10 "	92 " 24.	

**Kurs telegrafowany z Wiednia wczoraj o 2 g. popołud.**

Amsterdam.	—	Marsylia	—
Augsburg za 100 zlr.	135 1/2.	Medyolan za 300 lirów	134 1/2.
Bukareszt	—	Paryż za 300 franków	159 1/2.
Frankfurt za 120 zlr. podług	—	Azjo duk. ces.	—
24 1/2 stopy	135 1/2.	Srebra agio	35.
Genua.	—	Pożyczka 5%	85 1/4.
Hamburg za 100 tal. banco.	100 1/2.	Pożyczka lit. B.	4 1/2 75 1/4.
Konstantynopol.	—	Akcyje banku	1210.
Liworno.	131 1/2.	Kolej połnocna	2142 1/2.
Londyn za 1 funtszterl.	13. 9.	Obl. ind.	5%.



Mała suczka, rasy kurlandzkiej, kasztanowata, z białymi nóżkami i z strzałką białą na czole, siedm miesięcy mająca zginęła dnia 31. maja r. b. z rana; ktoby takową odszukał raczy się zgłosić do właściciela pod Ner 371 przy ulicy Wałowej, za co otrzyma odpowiednią nagrodę.